Rok III. Warszawa-Kraków, dnia 20. grudnia 1911. № 50

# PRZEGLĄD KRYTYKI ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

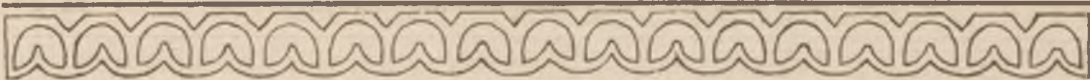
Wychodzi w odstępach czasu 20-dniowych pod kierownictwem
**Józefa z Rozprzy Krobickiego.**

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 125.

**PRENUMERATĘ** w cenie 1 rb. kwartalnie przyjmują wszystkie księgarnie. Artyści, literaci i wogóle pracownicy na polu oświatowem—płacą połowę. Cena pojedyńczego numeru: 20 kop.

**OGŁOSZENIA** przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogloszeniowych i agentów.

## Treść numeru:





ZYGMUNT LUBERTOWICZ.

# Kazimierz Tetmajer — Twórca cyklu „Na Skalnem Podhalu", jako epik Tatr.

(Ciąg dalszy).

Nie przedstawilibyśmy zupełnego życia zbójeckiego w utworach Tetmajera, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na szereg rysów obyczajowych. I tak np. w noweli „O Zosi Walcakowej" mamy wiele epicznych rysów o przygotowaniu się do zawodu zbójeckiego. (Ciekawy zwyczaj wskakiwania rabusiów oknem na środek izby i wywijania w koło siebie ciupagą). Znakomita charakterystyka takiego życia, to janosikowy pochód na Węgry, a zwłaszcza przepyszna scena rządów Janosika Nędzy Litmanowskiego na hradczyńskim zamku.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Obok życia zbójeckiego, rozwinęło się w Tatrach w złotym wieku pieśni ludowej—janosikowym — również i życie pasterskie, ściśle wiążące się nieraz ze zbójeckiem. Życie to bywa spokojniejsze, ale i tu spotykamy natury pierwotne i drapieżne, jak Krystka i Dziki Juhas.

Życie miłosne szałasu silnie występuje w całym szeregu nowel (np. „Krystka", „Jak Jasiek z Ustupu, Hanusia od Królów i Marta Uherczykówna z Liptowa śpiewali w jedno, słoneczne rano ku sobie"). Z nowel tych łatwo wytworzyć sobie można obraz tych objawów życia, które dotąd zdarzają się jeszcze na Podhalu.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Właściwym eposem życia na hali jest opowieść „Maryna z Hrubego", w której życie pasterskie, opowiedziane szeroko, daje nam wielki, epiczny epizod gnania bydła i owiec na hale, wspaniały opis barwnego pochodu przy dźwiękach dzwonków, turlików i muzyki góralskiej i szczere rozrzewnienie tych starszych — jak Topór Sobcockula i Krzyś, którzy się na ten malowniczy widok patrzyli, a udziału w gromadzie nie biorąc, wspominali sobie stare, lepsze czasy..

Przyglądamy się tam zielonej hali, odbudowaniu szałasu, obalonego przez wiatr halny, a potem rozpaleniu watry, urządzeniu wnętrza szałasu i pobożnemu okadzaniu zagród trzody — „aby się owce dobrze pasły i doiły i aby im rzucone przez złych ludzi uroki, horobiska, nie szkodziły osobliwie przeciw zwartogłowianiu i tracelinie" (gubienie się w górach). I jesteśmy tam obecni przy liczeniu owiec, których Mardule zawsze brakowało, że trzeba było potem dokradać od liptowskich juhasów... Przyglądamy się dzielnej walce Sobka bacy z niedźwiadkiem, poznajemy bajarza, Kreta starego, co znalezionej Beacie Herburtównie cuda o prastarych czasach opowiada, poznajemy takich gości, jak te ptaki, co przychodziły ku dziewczynie do szałasu, więc siwarnik, pomurnik, dzikie kohuły i cietrzewie, co siadywały wśród kosodrzewiny—poznajemy cały świat tatrzański.

I takie-to życie w dawnym szałasie tatrzańskim, życie barwne, przerywane nieraz odwiedzinami „hornych" chłopców, którzy często szli razem ze zbójnikami na doliny węgierskie, opowiedziane w utworach Tetmajera szeroko, stanowi tło wielu nowel, a zwłaszcza tej p. t. „Jak wzieni Wojtka Chrońca".



Pieśni zaś pasterskie przewijają się bogatą wstęgą przez wszystkie utwory „Na Skalnem Podhalu"; więc wiele ich w powieści „Maryna z Hrubego", jak i w nowelach.

Ulubione w Tatrach życie myśliwskie, ma swego epokowego bohatera w starym Sabliku, o którym już w galeryi „drapieżnych" wspominaliśmy, a z nowel należy tu jeszcze przepiękny typ, Bartek Gronikowski „Raubszyc", jeden z tych „ostatnich", dla których zmienione warunki nowego życia stają się naprawdę tragiczne.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Znów inny świat cichego, pogodnego, domowego życia górali roztacza przed nami patrjarchalny dom starych Janosików Nędzów i te epiczne, tak cudnem słowem ludowem napisane dyalogi starego Jędrzeja Topora z Krzysiem...

Bo stary Janosik i jego żona to tak dobrzy gospodarze, czuli rodzice i opiekunowie rodziny, a wzajemna ich miłość małżeńska tak ujmująca w tym dzikim świecie „Legendy Tatr", jak ma być zatytułowane drugie wydanie „Janosika Nędzy Litmanowskiego" i „Maryny z Hrubego', że w chacie ich otwartej dla wszystkich, jak dwór polskiego szlachcica, spokój panuje i zadowolenie, przyczem stara Janosikowa za prawdziwą matronę góralską uważana być może.

„Nad drzwiami wchodowemi na gwoździu wisiał wian, który stara Nędzowa, będąc panną młodą, na głowie miała, wian zeschnięty od lat dziesiątków, który zanim uwito, chodziła ona po Skibówce, po łące zielonej we wielgim maju przed ślubem, pomiędzy kwiaty zawodząc:

cos mi jus po tobie rózowy kwiatecku,
kiedy juz nie bedem hodzić we wianecku?...

Za obrazem zaś świętym, na szkle malowanym, tkwił bukiet ślubny pana młodego, Nędzy, ojca Janosika, suchy i zapylony.

Uśmiechnęli się do siebie Nędzowie"...

Następuje tu opis ich świetlicy.

Z pod powały, z za listwy rzeźbionej patrzą się święci na pośród izby, święci na szkle ozdobnie malowani, u góry na rozrąbie rok i imię fundatora domu, na ziemi skrzynie limbowe ciemnozielone, w nich ślubne szaty i korale Nędzowej...

A gdy ich trzoda liczna wraca wieczorem do domu, Nędzowie, jak patryarchowie biblijni, idą przed dom patrzeć na ten powrót.

I znów nowy, charakterystyczny szczegół, malujący stare czasy i zwyczaje, gdy stara Nędzowa żałuje krasy Zubkosowych dziewek, gdyby nikt ku nim na noc nie chadzał, bo „toby jus béł stokrotny grzyk taki dar marnić".

Mimo to jest Nędzowa bardzo pięknym typem matki-góralki, równie jak i ten drugi typ matki z noweli „Jakie jest serce matki"

Nowela ta, pod względem artystycznym i ideowym jedna z najpiękniejszych, jest jednak w swym realizmie odstraszająco prawdziwą, bo najlepsi, nieba synom pragnący przychylić rodzice, a zwłaszcza matki, a najgorsze dzieci, są niestety zbyt częstem zjawiskiem na Podhalu. To też w noweli tej kochająca matka i wyrodny jej syn, Sobek, to typy w rzeczywistości istniejące, a tu unieśmiertelnione. I zwłaszcza owa postać matki chlubę przynosi cyklowi „Na Skalnem Podhalu", i stanowi jakby uzupełnienie do postaci starej Nędzowej, w galeryi typów kobiecych tetmajerowskich królewskie zajmując miejsce.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Dusza góralska nie zna miernoty... i jedna pójdzie pędem nieokiełznanym ku słońcu, druga zapadnie w przepaść bez dna. Najlepszą bywa, albo najgorszą.

I stąd to jaskrawe przeciwieństwo typów tetmajerowskich. Ten rwie się ku czynom najwyższym, ów ku mordom drapieżnym, znów inny zbłąka w kraju marzeń bez końca... I tak najdą się międzу drapieżnemi naturami, przodkowie dzisiejszych dzieci artyzmu Podhala. Najdą się tacy Samkowie Zwidowace z noweli „Zbójecka chałupa“, tacy grajkowie ludowi, jak Jasiek Mosiężny i Maciuś, tacy samoukowie-artyści, rzeźbiący kozikiem, jak Wojtuś z „Janosika“.

Bo dusza góralska to szeroki, nieodgadły świat!

Taki np. grajek, bajarz, poeta Zwyrtała, oczaruje nawet niebo, że trzeba się go stamtąd gwałtem wyzbyć.

A dziś?

Dziś z dawnych drapieżnych natur jednak coś zostało! Taki „Szczepan bez ziemi“ i dzisiaj jeszcze z pomsty niepowściągliwej podpali chałupę sąsiadowi, taki Michał Łojas Kośla powiesi się tak sobie na żart, taki Smaś pojedna się z Bogiem tylko dlatego, że Bóg „je“ dobry, a on dla dobrego, zawsze był dobry.

(C. d. n.).



JOACHIM LELEWEL.

# Śpiewy historyczne Julijana Ursyna Niemcewicza, pod względem historyi uważane.

**(Dokończenie).**

Nie w każdym razie jednego zdania z Autorem być możemy. Nie ma zgody na to, aby Bolesław wielki *miał być panem całej pod berłem jego zostającej ziemi, wypuszczając tylko mieszkańcom lenności z obowiązkiem służenia na woynach, a każdy który trzymał lenność, zwał się na ów czas szlachcicem.* (*Spiewy hist. p.* 41. 43.) bo na to dowodów nieznam. Opisany wpływ krzyżacki na Polskę. (*p.* 72. 73.) zdaje się jest wystawiony za nazbyt działający, bo na to wszystko więcej związki ze Szląskiem skutkowały. Trudno też przyzwolić, żeby Krzywousty miał bydź z oręża, między królami najsławniejszym, (*p.* 59. 85.) bo niezawodnie w porównanie ze swym naddziadem Bolesławem wielkim iść nie może.

Krótkość niekiedy sprawiła nie dość odznaczone wrażenia: tak Krzyżacy, zakon w Palestynie powstający, z Niemiec i Włoch do Prus sprowadzony (*Sp. hist. p.* 72); tak poślubienie Anny Gedyminówny (r. 1325.) odbyło się dobrze wprzód niż, (r. 1331.) bitwa pod Płowcami (*p.* 82. 83. *c.* 75); tak jeszcze Bolesław wstydliwy uciekał z kraju nim jeszcze Tatarzy do Szląska wkroczyli (*p.* 78.)

Że się wcisnęły omyłki, być to może, jeszcze w przepisywaniu, a więcej w druku, łacno każdy dochodzi. Wrzeczy samej niezawodnie nie mało jest drukarskich omyłek. Z tych nie od rzeczy znamienitsze przytoczyć: p. 13. *dziewięciu set lat*, ma być ośmiuset lat —p. 67. *Henryk Xiąże Lignicki*, ma być; Sandomirski — p. 80. *Przemysław w Rogoznie s. Bożego nar.* ma być zapusty. — p. III. *zwabiwszy Korybuta*, ma być Jagiełłę. — p. 120. *podług Czechów przez króla ich Bolesława*, ma być: Brzetysława.—p 123. *Dubrawiesza*, Dubrawiusza.—p. 187. *kosztując*, kozując.— p. 191. *Otelkowicza*, Olelkowicza. — p. 256. *w sprawę Zamoyskich*, ma być Zborowskich.

Na rysunku Numero 2. podobno za nadto wcześnie woysku za Bolesława wielkiego skrzydła przypięto, a do tego tak ogromne jak gdyby mu się w spadku po owych aniołach do Piasta przybywających dostały.

Maż moje pióro mówić co o stylu i o polszczyznie pióra tak wiele znanego? maż Mu młodsze pochwał udzielać? lub w nim nagan wyszukiwać? Nie, zaiste. Po-

wściągam sąd mój i do końca się biorę. Ale niech wolno uczynić te ogólne uwagi: że w początkowey części aż ku Stefanowi biorąc, mniej jest ciągłości, nieraz ostra dorywczość, większe zaniedbanie, gdy dalej w większej liczbie opisów panuje żywość i zapał, które Autor pomimo utyskiwania na swóy wiek i siły wątlejące rozsiał, i prostotę zamierzoną nie raz podniósł, przyjemnie każdego dotykając Czytelnika; że stawszy się ulubionymi *acz*, *by*, bez żadnej odmiany gęsto są używane. Że przymiotniki z obciętym y, (na wzór tego wyrazu, umęczon,) starą formą często są wprowadzane, równie jak nie jedne stare kształty, które boday nie czyniły w młodych stylach wstrętu.—Wyraz *rozwiązłość* dosyć często używany, w sposobie poważnym; w znaczeniu zepsutego związku jakiej rzeczy, przyswojony do rozwolnionych zbytecznie obyczajów, jest przykry, i odrazę w przedmiocie poważnym jednający.

Z opuszczenia zdaje się jakowegoś, czy w przepisywaniu czy w druku, znajdują się miejsca przytrudniejsze do zrozumienia, naprzykład na k. 250. 287. lecz inne nieforemności (p. 417 438.) któreby ścisłego obserwatora więzów grammatycznych niespokojnością nabawiły *), wynikają niewątpliwie z tych swobód któremi wspólnie z narodem mógł słynąć jego język, które jeszcze w potoczney mowie się ukazują, które nieraz naylepszym piorom naszym rozmaitości i często żywości dodają, chociaż w mniej dobrych są prześladowane, których grammatyka niewziąwszy pod uwagę i nie wciągnąwszy w swóy kodex, tych wolności już cierpić nie daje. Być może iż przez to ięzyk na ścisłości cokolwiek zyskuje, nie wiem jednak, jak daleko na swej wolności, bogactwie i rozmaitości.

Pisałem z początkiem roku 1817 w Wilnie. *J. Lelewel.*

JÓZEF KOTARBIŃSKI.

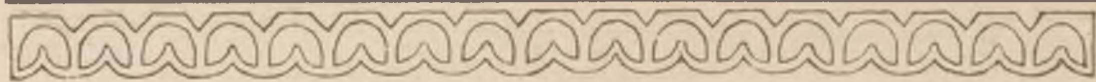
# Jubileusz „Wesela“.

(Dokończenie).

(Przemówienie wygłoszone w Teatrze Krakowskim przed setnem przedstawieniem dramatu)

A jednak ulega poeta liryzmowi wielkich wspomnień i w tem samem „Weselu“ w którem tradycję szlachecką nazywa podłą maską zaczarowanego świata, przez usta Stańczyka wspomina z rzewną tęsknotą ową chwilę uroczystą, uwiecznioną przez Matejkę, gdy błazen-mędrzec siedział u królewskich stóp, a dzwon wawelski Zygmunt wchodził w górę—a potem „z wyżyn się rozdzwonił, głos leciał

*) Tak już samemu Autorowi zarzucono, że w Samolubie napisał *sapie* zamiast sapi *(Dzien. Wil. T. II. p.* 99,) kiedy w mowie powszechnie jest znane: on sapie.—Naruszewicz nieforemnie mówi *świętych koście (Hist. T. II. p.* 191. *ed. pierw.)* i takich nieforemności w tym niezmiernie poprawnym pisarzu znajdywać nie trudno.—Obruszają niejednego co się dzieje mianowicie w wyrazach zdrobniałych lub takich co jakoweś pieszczenie oznaczają, alboliteż do litośnego wyrzucania używanych, że mogą być użyte, raz, podług rodzaju rzeczy wyrażanej, lub podług rzeczownika jeśli same są przymiotnikami, drugi raz, podług zakończenia swego. Tak np. dziad, *dziadek* ten, *dziadzina* ten lub ta, *dziadzisko* ten lub to; tak bardzo dobrze w Samolubie użyto: *nieznośną gadułę, tę zrzędę* do osoby rodzaju męskiego (co recenzent za złe poczytuje *Dzień Wil. p.* 99.) Nawet tego za prowincjaliśmy poczytywać nie można: Ale kiedy ptaszek prowincjonalismem staje się przez uczynienie z niego rodzaju żeńskiego, ta ptaszka: ptaszyna może być ta lub ten, a gdy dziecko jest to, dziecina zawsze jest ta.—Zwyczajem jest jeszcze, że kiedy rzeczowniki żywotne, a jeszcze bardziej te które w pewnym zbiorze ludzi wystawuią, są w liczbie mnogiej z formą żeńską, że przymiotniki, słowa, zaimki do nich się odnoszące, mogą być użyte w formie męskiej bez obrazy czystości języka, choćby na to grammatyczne przepisy sarkały: tak więc naprzykład czytamy w Naruszewiczu *(hist. T. II. p.* 196.) „nastąpił na liczniejsze półki i pierwszy na *nich* natarł.“ etc. Mówią niewiasty o sobie *byliśmy* a nie *byłyśmy*, tego za złe im mieć trudno: trwa ten zwyczaj dotąd dosyć powszechnie jeśli już tylko gdzie płeć piękna uczonymi przepisami napojoną nie została. Są to dzikości niejakie w języku; a przecie oprócz tych, pilny dostrzegacz dopatrzy wiele innych, pewnym tylko przypadkom właściwych, z któremi dość jeszcze ucho oswojone, że na nie grammatycznym sposobem dotąd nie powstaje.



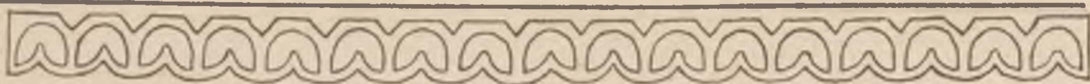
polatał, kołysał się górnie wysoko podchmurnie, a tłum się pokłonił—dzwon dzwonił“... „On—ten dzwon królewski, nieustający w brzęku o pękniętem sercu—nasz ton“ mówi pięknie dziennikarz do Stańczyka. Tak to nasz ton — ton przewlekłej serdecznej tęsknicy za utraconem szczęściem narodu.

Poeta szamocze się z tym czarem—a jego serce mimowolnie lgnie do niego. Ta walka jakóbowa z aniołem przeszłości wydobyta na jaw w poezji jest jednym z momentów współczesnej tragedyi ducha polskiego. Klątwą jest bowiem naszą i mocą zarazem, że czujemy i myślemy kategorjami społeczeństw używających w całej pełni przywilejów cywilizacyi. To było przyczyną wielu naszych klęsk politycznych—chociaż jest logicznym wynikiem instynktu samodzielności w narodzie, którego złe losy skrępowały w chwili odkwitnięcia sił, porywu odrodzenia. Ten idealizm polski, to niegodzenie się z rzeczywistością, to częste wyprężanie się duchem w przyszłość, kto wie czy nie jest zadatkiem przyszłości. Pokolenia obecne, które pracują w skupieniu z myślą o wspólnych celach, tak samo piastują w swem łonie tę „wielką rzecz“, tę przyszłość naszą, jak nosiły ją w sobie pokolenia rycerskie i marzycielskie.

We współczesnej poezji „Wesele“ jest nietylko wyrazem beznadziejności i duchowego rozbicia pokolenia współczesnego poecie, jak chce jeden z krytyków, ale stężonym obrazem marnoty życia, mierzonej skalą wielkiego ukochania bratniej rzeszy—jest, jak powiedziałem już dawniej— splotem rozwianych złudzeń, wad, słabości, bólów i pragnień duszy polskiej na przełomie stuleci, splotem pokazanym w oświetleniu ironiczno-mistycznem. Wyraził w niem także poeta „potrzebę wyłamania się z koła błędnych marzeń, wobec wielkiego głosu życia, opozycyę wobec ideałów i haseł upiornych nie w formie uświadomionej lub ideowej, ale w splocie symbolów i obrazów, ujętych w całość uczuciowego nastroju“.

W fenomenologji ducha polskiego ma „Wesele“ znaczenie pierwszorzędne. Pomimo swej lokalności, którą nazwał ktoś nawet „plotką krakowską“, dramat ten od pierwszego do ostatniego wiersza jest przesycony, nasiąknięty uczuciem ogólnie polskiem, zranionem, bolesnem, zgorzkniałem jak gąbka zmaczana w żółci i krwi z ran polskich płynącej. W każdem słowie, czuć to drganie bolesne, niespokojne a serdeczne, które znalazło tak silny oddźwięk w duszach młodego pokolenia, odpowiadając niepokojowi jego uczuć, gorączce pragnień i głodowi artystycznych wrażeń.

Znać, że poeta tworzył dramat jakby w paroksyzmie, w nieustannem napięciu rozigranej fantazyi. Byłem świadkiem ostatnich drgnień twórczych — dostałem od Wyspiańskiego luźne kartki, wyrywałem mu je prawie z rąk, słysząc ich szelest tajemniczy... Przyszedł do mnie poeta w szaro-smętny dzień zimowy. Przed nim inny autor zmordował inne czytaniem makabrycznej fantazyi, która dręczyła słuchacza bezcelową okropnością... Byłem znużony, czułem lekki ból głowy. Wyspiański czytał cicho, jednostajnie w ciągu prawie półtorej godziny pierwszy akt „Wesela“ w pierwotnej redakcyi... Czułem, jak mnie za serce chwyta czar tej poezyi nawskroś nowej, oryginalnej — wytężyłem się rozkosznie pod wpływem hypnozy artystycznej. Minął ból głowy, zostało dziwne upojenie. Utonąłem całą duszą w tej wizyi godów, oszołomiony przedziwnem rozkołysaniem fantazyi, rytmem swoistym, bujnością, przelewaniem się humoru, brawury, melancholii, kaskadą słów dźwięcznych potoczystych, z których niejedno budziło drgnienia najgłębszych strun serca było echem niedopowiedzianych tęsknic i marzeń. I potem jak zahypnotyzowany śledziłem ten korowód mar, tę dziwną plątaninę snu i jawy, ulegałem czarowi tej formy, opartej na jasełkowym ruchu, pierwotnej a wyszlachetnionej, symfonicznie



falującej, czarowi języka, w którym drgała nuta rzewna, cicha a skoczna, jak „melodyjny dźwięk z polskiej gleby, bólem i rozkoszą wykołysany".

I teraz, gdy po kilku latach wróciłem do „Wesela", uderzył mnie ten sam mocny aromat poezyi, jakby z bukietu kwiatów, zrywanych na różnych zagonach polskiego żywota, przetykanych gałęziami ostu i cierni. Zadałem sobie pytanie — czy ta poezya, tak przedziwnie wyrażająca bolesny rozłam duszy polskiej nadługo zachowa urok, więżący umysły współczesne. Pytanie to na razie zostawiam bez odpowiedzi. Zmieniły się nastroje, z których powstała ta pieśń niemocy, pełna urągliwych oskarżeń. Sam poeta przed skonem oświadczył wyraźnie, że niechce, aby w Warszawie granem było „Wesele". Czuł, że minęła chwila, w której kołowy taniec i epilog dramatu, były symbolem pół-sennego obracania się w próżni. Ale po dreszczach rewolucyjnych, po rozwianiu się nadziei, jakie przywiązywano do nowej epoki, powrócił duszny nastrój reakcyi. Gorycz „Wesela" niestraciła w Królestwie swej aktualności, bolesny rozdźwięk nczucia narodowego nie zamilkł, ucichł tylko nieukojony, skupił się i w duszach szlachetnych zabarwił się odcieniem nadziei.

„Wesele" jest doniosłym momentem wysiłku duchowego poety. Wśród pleśni i rumowisk starał się Wyspiański przerąbać nową drogę, przejąć duszę polską ukochaniem mocy i czynu. Nienawidził poeta współczesnego człowieka, plwał na szarzyznę i marnotę—ale „kochał naród po swojemu, gorzko, rozpaczliwie, kochał go nieukojonym bólem zawodów i upokorzeń, męczarnią zdeptanej duszy, która niemogła się zgodzić z niczem, co małe, płaskie i nikczemne". Teraz „Wesele" zwycięża nietylko dźwiękiem spękanego dzwonu duszy polskiej, ale i przedziwnym urokiem artyzmu swoistego, rewelacyją kształtów nowych w świecie, stworzonym przez poezję—według mnie nowych w literaturze dramatycznej całego świata. Gdy po raz setny widzimy na scenie krakowskiej kołowy ruch zaklętych muzyką chochoła biesiadników, splećmy nasze myśli i okrążmy niemi cichą kryptę na Skałce, kryjącą szczątki przedwcześnie zgasłego czarodzieja sceny narodowej. Schylmy w milczeniu głowy na cześć poety, który miał momenty wielkości, a twórczą męką żywota stwierdził słowa wieszcza, że „narodu duch zatruty to dopiero bólów ból!"



STANISŁAW CIESZKOWSKI.

# Dwudziestopięciolecie poety.

(Z powodu jubileuszu
Kazimierza Laskowskiego.)

Z Kastalskiego źródła tryskające natchnienie, obleczone w cudną formę słowa żywego—oto Poezja, jedynie godna tej nazwy.

Poezja nie może służyć żadnym ideom, żadnym zamierzeniom, żadnym dążeniom, poza jedynem dążeniem do ideału piękna, do platonicznej rozkoszy bogów na Parnasie! Każda *inna* poezja—to jej surogat, to sztuka wierszowania, stosowana do.... przemysłu i handlu!

Wobec tego zdawałoby się, że gdzie jak gdzie, ale w dziedzinie poezji nie powinny istnieć żadne „kapliczki". Idealne bowiem *piękno* jest jedno, jak jedną jest tylko *prawda*, jest ono absolutem, niedającym się różniczkować przy pomocy haseł, pojęć, czasu, szerokości geograficznej, nienawiści, lub sympatji. A jednak najwięcej być może kapłani poezji hołdują coraz to zmieniającej się modzie i składają swe ofiary w coraz to nowopowstających *kapliczkach*! I w tem podobni są oni do paryskich krawców, którzy z podmuchem wiosny zmieniają mody, gwoli zadowolenia swych rozkapryszonych klijentów.

Poezja po wsze czasy była, jest i będzie ulubionym konikiem dla różnego rodzaju: grafomanów i literackich rzemieślników. O tych pierwszych nie rozpisuje się, są to nieszkodliwi w rezultacie manjacy, niepozbawieni nawet pewnej zasługi za popieranie przemysłu krajowego: papiernictwa, wyrobu atramentu i piór stalowych. Co się zaś tyczy drugich, to rzecz przedstawia się zgoła inaczej. Oni to są właśnie wytwórcami *en masse* owego właśnie surogatu poezji, owej sztuki wierszowania, stosowanej do... przemysłu i handlu. Pewna kultura, jaką posiadają, mniejsza lub większa łatwość rymowania i pewien *prestige autorski*, zdobyty na całkiem innem polu ich działalności literackiej, składają się na to, że ich utwory poetyckie cieszą się względnem uznaniem wśród szerokich, niebardzo wybrednych mas, psując ich gust artystyczny, obniżając poezję do rzędu jakiejś produkcji literackiej, pośledniejszego gatunku, wreszcie oszukując samych wytwórców tego rodzaju „poezji", gdyż sądzą oni, że ich utwory są wynikiem natchnienia, a tymczasem są one wynikiem potrzeb całkiem... realnej natury.

Mylnem jest pojęcie, że *poetą* jest ten, który wydał tomik poezji, lub nawet dwa, trzy i więcej tomów tego rodzaju utworow, szumnie nazywanych poezjami. Prawdziwym poetą jest ten, któremu w duszy i sercu gra nieustannie hymn na cześć cudnej, boskiej *Natury*, na cześć jedynego ideału: *Piękna*, na cześć jedynej, odwiecznej *Prawdy*.

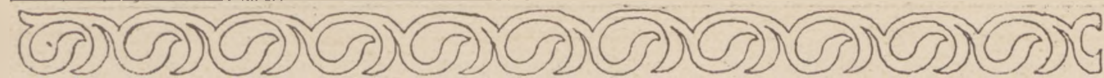
Prawdziwemu poecie zbędnemi są: papier, atrament, czcionki, piękna okładka z pięknym rysunkiem i z pompatycznie wydrukowanem na niej nazwiskiem autora, jemu potrzebna jest, nieodzowna—*Natura*, to jedyne, nieprzebrane, niezmieniające się nigdy i nigdy niezbadane źródło... Poezji!

Poeta—to pieśniarz wyśpiewujący hymn na cześć tajemniczej Natury, poezja—to hymn podniebny na cześć jedynej prawdy, jedynego piękna na tym świecie — Natury!

Wszelkie inne hymny, wszelkie inne „hosanna" są to roboty *à la* poezja, są imitacje, często nawet świetne, ale tylko imitacje poezji.

To wszystko com wyżej powiedział o poezji i poetach należy niestety do sfery nieziszczalnych marzeń, a życie idzie swą własną koleją i wytwarza swe własne potrzeby, tak ogromnie oddalone od niedościgłych ideałów. Z tem trzeba się *nolens, volens* pogodzić, a przedewszystkiem należy się z tem rachować. Życie realne, życie pełne trosk i przyziemnych dążeń, wytworzyło swoją własną poezję, która mu w zupełności na codzienny użytek wystarcza. O innej od czasu do czasu marzymy, a o posiadaną mało dbamy w rezultacie. Taka, czy owaka, wszystko jedno, aby była, gdyż w całokształtcie kulturalnego bytu, mówią sobie niewybredni, poezja jest równie potrzebną, jak np. potrzebne są filtry, samochody, lub sosy tatarskie!

Od czasu do czasu potężny genjusz twórczy wielkiego wieszcza wstrząśnie sumieniem artystycznem narodu, zapali pochodnię, wiodącą do odwiecznego ideału ludzkości, do... *Piękna*, stanowi to epokę w dziejach danego narodu, a w długich,



czasem nawet przydługich odstępach czasu od pojawienia się jednego genjuszu do pojawienia się drugiego, poezja ma kapłanów, którzy z wielką wiarą (!) w siebie, często z wiarą w czystość swych zamiarów i uczuć, ale powiększej części bez tej iskry bożej, którą rozpala prawdziwe, boskie natchnienie, przędą w dalszym ciągu złotą, pajączą nić Poezji, przeplatając ją grubym, ordynarnym szychem.

Powiedziałem wyżej, że z takim stanem rzeczy, jaki istnieje w dziedzinie poezji, musimy się pogodzić i rachować się z nim, to też nie szukając napróżno „niedoścignionego", starajmy się rozróżniać w tem, co posiadamy, plewy od zdrowego ziarna. A niestety plew jest co raz więcej w dziedzinie naszej poezji.

Cały, niezliczony szereg ludzi *piszących wiersze* (t. zw. poetów) należy podzielić na dwie kategorje: na zawodowców-poetów i poetów z Bożej łaski. Scisłe jednak rozgraniczenie tych dwuch kategorji poetów jest w teorji niemożliwem, nieustanna, przypadkowa, bądź samowiedna emigracja indywiduów z jednej kategorji do drugiej zaciera niemal linję demarkacyjną pomiędzy temi dwoma kategorjami, tak, że trudno stanowczo powiedzieć, gdzie w poezji kończy się: zawodowiec, a gdzie zaczyna się poeta z Bożej łaski!

Warunki życiowe, walka o byt wytwarzają często z poetów z Bożej łaski — zawodowców, z drugiej strony bywają wypadki, że zawodowiec-poeta staje się chwilowo poetą z Bożej łaski! Bądź co bądź te dwie zasadnicze kategorje poetów istnieją i w praktyce, mylnie, czy nie, dość że nietylko historycy literatury; krytycy literaccy, ale nawet szeroki ogół rozróżnia te dwie kategorje i to w sposób dość trafny.

Ten przydługi cokolwiek wstęp potrzebny mi był do skreślenia duchowej sylwetki jednego z wiernych synów Apolina, wiernych, bo od dwudziestupięciu lat, składającego ofiarę na ołtarzu Poezji, tej prawdziwej, tej, która „z Kastalskiego źródła, tryskające natchnienie, przyobleka w cudowną formę słowa żywego".

**(Dok. nast.).**

---

**JAN KULESZA.**

# „Wiosna".

**(Zbiór poezji Witolda Bunikiewicza).**

Na biurku mojem piętrzą się stosy aż do superlatywu pięknie wydanych płodów nagiej duszy, skąpanej w oceanie czarnej kawy, jęczącej „seledynową skargą.

Z wszystkich tych książek młodych i najmłodszych parnasistów naszych łka straszna niemoc, bije niezrozumienie życia i własnego „ja", a wstrętem napełnia poza — poza — poza.

Piewcy ci cierpienia, zrodzonego w neurastenji po wypiciu całej falangi „półszklanek" czarnej kawy, nie rozumieją, iż boski ten trunek tylko w małych, cienkich filiżankach jest smaczny, podawany zaś w wielkich imbrykach staje się wstrętnym—nawet w poezji.

Dla tych właśnie powodów ciężkim jest dla mnie obowiązkiem omawianie tych pesymistycznych płodów zagranicą zepsutych dusz.

A stosy książek piętrzą się coraz wyżej...

Kiedy okres dekadentyzmu minął już zagranicą od dziesięciu lat, a tamtejsi poeci-odludkowie, wszelakich boleści życia piewcy pesymistyczni, ścinając długie czupryny, poczęli się kąpać częściej i u najpierwszych krawców ubierać, u nas okres brudnych kołnierzyków i plucia na życie stale trwał i ciągle trwa jeszcze, jak za dawnych lat...

Aż nareszcie, jednak i u nas w najnowszych czasach stanęło kilka jednostek, chcących panoszącym się, zgubnym wpływom położyć kres. Do piewców takich, których siła nas porywa, a prostota czaruje, których koloryt rozmarza, należy niewątpliwie poeta Witold Bunikiewicz, którego „Olimpijska Komedja“ już przed kilku laty pozwalała rokować o nim jak najlepsze nadzieje.

Dziś leży przedemną jego nowy tomik, wprawdzie mały i skromnie, choć bardzo artystycznie wydany, który mnie pouczył, że jednak nie mieliśmy słuszności, głosząc, iż epoka dekadentyzmu zabiła liryzm polski. Przekonał mnie Witold Bunikiewicz, iż najmłodsza poezja nasza wielką ma siłę i żywotność, przekonał mnie słowami jasnemi i prostemi, swoim młodem, rozradowanem sercem i pogodnie rozspiewaną duszą.

„Wiosną“ nazwał poeta zbiorek poezji swoich—całkiem słusznie, bo wszystko tu tchnie wiosną! Zieleni się trawa, jaśnieją pierwiosnki, słowik się radośnie rozśpiewał, chłop-siewca idzie przez pola, a wszystkiemu jasne—jasne świeci słońce!

Wyszedł młody poeta na pola—patrzy—śniegi stopniały... Wiosna hyżonoga z kwiatem wonnym w ręku stąpa ku niemu... Aż w męskiej jego twarzy para dziecięcych oczu się roześmiała, a usta wyśpiewały pieśń „Gawotu“ — najsubtelniejszy wiersz jaki od lat czytałem:

„Pomnisz waćpani ów wieczór słodki
kiedyśmy razem szli w cichy sad
zanucić smętne gawotu zwrotki...
i jako w dali klon szumiał wiotki,
i mrok się drżąco na gąszczu kładł,
a tyś, do trwożnej podobna łani,
słowo wyrzekła, pomnisz waćpani?“

Cieszy poetę nadchodząca wiosna i silnym głosem nawołuje nas swięto ono święcić „bo zima już nie wróci—a wszystkie bóle wiosna rozpogodzi.“

I chcielibyśmy zerwać z siebie grubą odzież smutku i bólu i podążyć za młodym poetą „na te piękne nasze łąki“ I wierzyć—wierzyć, iż zima już nie wróci.

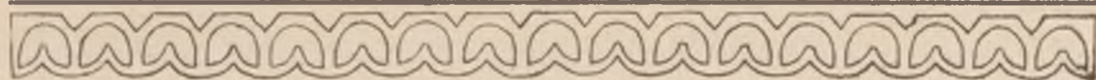
A nie dobiera on słów pięknych jedynie dla ich brzmienia pięknego, ani nie potrzebuje *szukać* jakichś efektów świetlanych, ale—poprostu—jego jasna wyobraźnia napełniła się radością—więc musi nam tę radość wyśpiewać.

Mówi do nas słowami prostemi, jako ta wiosna, która doń przemawia, a w prostocie swojej jest tak barwny, tak barwny—jak te łany nasze, jak ta wioska nasza.

Jaka np. siła i piękno odrodzeńcze bije z tej jego balady:

„Do ślubu ci zwiodę przepyszny zbiór szat,
Sto beczek zapalę—niech płonie wskroś świat,
Niech ogniem się w koło rozpali.
Hajduków roześlę na niwy i bór
Na ucztę weselną stuletni zmrze tur
I stado lękliwych rogali.“

Jest więc Bunikiewicz poetą życia, piewcą rozkoszy i radości, a że siła jego nie pozwala mu na smutek, patrzy on na życie pogodnie uśmiechnięty i z tego powodu są wiersze jego rozradowaniem do czynu palącej się duszy. W poezjach



jego uderza styl piękny, prostotą swą podbijający, bajeczna znajomość języka, a nadewszystko *polskość*, której tak rzadko dopatrzeć się można w poezji najmłodszych.

Swoją silną wiarą w życie sugeruje on największym pesymistom swoją własną wiosnę, dając im chwilę pięknej ułudy, a jest to już ów najwyższy cel, jaki poeta osiągnąć może.



JÓZEF KANTOR.

# Pieśń ludowa Podhala.

(Ciąg dalszy). (Z powodu jubileuszu Kazimierza Tetmajera).

Wszystkie zaś zalety własne, jak śmiałość, odwagę nieustraszoną, zamiłowanie w swobodzie niczem nie krępowanej, życie gardzące śmiercią, zwyciężanie trudów wszelkich i co krok grożących człowiekowi niebezpieczeństw, dążenie do sławy pośmiertnej, okupione bohaterską śmiercią za to, że człek jakiś równać chce ludzi tak, by biedy nikt nie czuł na świecie—zamknął Podhalanin w piosnce zbójeckiej, sławiącej hetmana zbójników, Janosika z Brzezawicy, który podobno żył w 18. w.

A musiała niegdyś ta pieśń zbójecka czarować umysły wrażliwsze, skoro dziś jeszcze znajdujemy w niej tyle siły i mocy, taką rytmikę wiersza śmiałą, junacką i ostrą—często nic ze spokojem epiki nie mającą wspólnego, takie ogromne bogactwo melodyj śmiałych, przypominające jakieś urywki z rapsodyj wagnerowskich, czy huk dźwięcznej kapeli janczarskiej. Musieli niegdyś ci ludzie, rozbijający zamki węgierskich grafów, wzbudzać u współczesnych sobie ludzi podziw i musieli ich porywać polotem swych żądz i czynów, skoro nam przeszłość takie bogactwo pieśni o nich zostawiła i skoro epigonów ich jeszcze ojcowie nasi ze strachem wspominali nam młodszym w zimowe wieczory.

A nade wszystkich wyniósł się sławą Janosik, o którego śmiałości więcej nam gadki na Podhalu prawią, niż śpiewają piosnki. Liptów, Spiż, Orawa znają coprawda piosnek o nim więcej, ale i u nas w powieści zachowało się wiele rysów z życia jego i jego towarzyszów.

Dziś mówi o nim piosnka, że na skinienie jego wszyscy byli posłuszni, bo:

„Janosik, Janosik chłop to był nie lada;
Słuchajom go zbóje, co on do nich gada.“

że imię jego głośne jest wszędzie i że po wszystkich dziedzinach idzie „hyr“ o nim, bo:

„Janosika imie nigdy nie zaginie
Ani na wiersycku, ani na dziedzinie.“

A chociaż sama nawet cesarzowa Tereska trzy dni z nim tańczyła, a on sam za regiment wojska stanął, a „towarzysia“ jego za drugi i chociaż ubogim dawał, co bogatym wziął, zginął jednak na szubienicy... Jakaś dziewczyna—podobno Hanka Bunkoszka z Kokawy, czy jak powiada pieśń na Orawie stara jakaś baba, która jego „widieła, ta ho wyzdradiła“, że schwytano go i nałożywszy mu na ręce dwunastocetnarowe kajdany, pod szablami do więzienia zaprowadzono z paradą, że jak pieśń słowacka głosi:

„Divuju se pany z tej bystrzyckiej bramy,
Iże si Janusza vedu pod szablami.“

Lecz choć okuto Janosika w tak ciężkie kajdany, że: „Dvanast centów železa Janosz na rukach mial“ – to przecież „Eszte dvanast razy szybeń preskakoval.“ Więc gdy męczono go, same nawet Tatry one, które były mu schronieniem najmilszem przy boku zdradliwej, choć gorąco umiłowanej kochanki, jękiem wtórowały jego

męce i miały bardziej jeszcze jęczeć w chwili, gdy Janosika wieszano, gdy spełniło się to, co wróżyła mu dziewczyna:

„Powiesom Janicka za pośrednie ziobro,
Juz tobie zbójować bedzie nie śleboodno.“

Śmierć Janosika miała być przestrogą dla jego towarzyszów i późniejszych zbójników, aby nie wierzyli „frajerkom“, które tak ich przestrzegały:

„Zginies ty Janicku, zginies jako muska,
Zginies od siekierki, zginies od obuska.“

a nieraz zdradzały się nawet wymowniej, śpiewając im wśród pieszczot w ciemną nockę:

„Zginies, chłopce, zginies, jino by ja fciała,
Jino by ja na cie słówecko pedziała.“

Wdzięczność taką okazywała tu „frajerka“ za to, że ten jej kochanek-zbójnik wszędzie przez hajduków i wojsko tropiony, jeśli wyskakiwał za „buczki“ to dlatego, by jej swą śmiałość i miłość okazać, by jej się lepiej spodobać, a przytem mieć ją za co uczęstować i uraczyć. - Bo przecie śpiewał w swej pieśni:

„Ochoty mi daje z za bucka wyskocic
Coby cie mieć za co wódeckom uracyć.“

Ale nie wierzyły przyszłe pokolenia zbójników, co im starsi zbójnicy śpiewali, że

„Janicek zbójował, dobrze mu sło z końca, (z początku)
Kieby go nie była zdradziła spodnica.“

i niejeden pocieszał się chyba tem, że jego frajerka

„Siem razy zemglała.
Kie go powiązali u pana ryktara“ (wójta),

lub że jego

„Miła nie śpi, jino sobie myśli,
Syćko se wyziyra, kie pódzie z więzienia.“

a radził jej wtedy:

„Poprzedaj konicki,
wykup mnie z ciemnicki,“

boć ona bogata, strojna, żyje swobodnie i

„chodzi pod wstążkami
A on se okuty na krziz recioskami.“ (C. d. n.).

---



DOKUMENT CYWILIZACJI PRUSKIEJ.

# BEZ KOMENTARZY.

**O naukę języka polskiego** w Gnieźnie — następującą korespondencję z **adwokatem** Karpińskim przeprowadziły —**władze pruskie**:

**Podanie**:

Gniezno, dnia 26 lipca 1911 r.

Do Król. Regencyi
Wydział dla spraw szkolnych
w Bydgoszczy.

Król. Regencyę proszę uprzejmie udzielić mi pozwolenia na dawanie nauki polskiego czytania i pisania w każdą niedzielę dzieciom szkolnym w oddziałach 3—4 uczniów.

Z poważaniem
*Karpiński*, adwokat.

**Odpowiedź**:

Bydgoszcz, 10 sierpnia 1911 r.

Na podanie Pańskie z dnia 26-go lipca r. b. odmawiamy Panu pozwolenia na naukę prywatną, ponieważ nie złożyłeś Pan egzaminu na nauczyciela i nie zachodzi potrzeba zakładania szkoły prywatnej w Gnieźnie.

Król. Regencya.
(Podpis).

**Zażalenie**:

Gniezno, 21 sierpnia 1911 r.

Do Jego Ekscelencyi
Król. Ministra wyznań i oświaty
w Berlinie.

Ekscelencyo! Dnia 26 lipca r. b. podałem do Król. Regencyi w Bydgoszczy wniosek o pozwolenie udzielania w niedzielę dzieciom szkolnym w oddziałach 3—4 uczniów lekcyi polskiego czytania i pisania. Na wniosek mój odebrałem załączoną odmowną odpowiedź, na którą wnoszę zażalenie. Zapatrywanie król. Regencyi jest mylne. Regencya odmawia mi prawa do udzielania lekcyi polskiego czytania i pisania z dwóch powodów, z których każdy jest bezpodstawny. Nasamprzód odmawia dla tego, że nie złożyłem egzaminu na nauczyciela. Powód ten byłby tylko wtenczas zrozumiały, gdyby chodziło o naukę przedmiotu, udzielanego obowiązkowo w państwowych szkołach średnich. Ponieważ jednakże zamierzam uczyć przedmiotu, nie objętego planem nauki w szkole, przeto żądanie egzaminu, któremu zresztą każdej chwili poddać się jestem gotów, jest zupełnie nieuzasadnione. Drugi powód, jakoby nie zachodziła potrzeba zakładania nowej szkoły prywatnej w Gnieźnie, jest zupełnie niezrozumiały, ponieważ zamiar udzielania nauki polskiego czytania i pisania, i to tylko w niedzielę, nie nosi zupełnie charakteru szkoły. Proszę dla tego Waszą Ekscelencyę zechcieć uchylić rozporządzenie król. Regencyi i udzielić mi żądanego pozwolenia.

Z głębokim szacunkiem
*Karpiński*, adwokat.

**Odpowiedź**:

Minister dla spraw wyznań
i oświaty.

Berlin, 7 października 1911 r.

Ponieważ Pan nie wypełniłeś warunków, przepisanych dla udzielania nauki młodocianym osobom, instrukcyą z dnia 31 grudnia 1839 r., mianowicie, nie zdałeś egzaminu na nauczyciela, odmówiła Panu zupełnie słusznie Regencya pozwolenia na udzielanie nauki.

Słusznie uznała Regencya, że zamiar Pański nauczania w niedzielę nosi znamiona szkoły, której niema potrzeby.

Podp. *Trott zu Solz.*

## WZMIANKI KRONIKARSKIE.

× (*jk.*) Coraz-to liczniejszej rzeszy polskich pism obrazkowych wciąż jeszcze nasz „Tygodnik Illustrowany“ pięknym świeci przykładem. A i dzisiaj nowy składa dowód czujności, dbałości i pracy, w którym myśl i charakter uwidocznić umie. W tydzień po wydaniu zeszytu, który w składnej całości tak wymownie, a zwięźle przedstawił nam monografię Lwowa, wydaje „Tygodnik“ znowu okazały zeszyt, poświęcony w całości możliwie wszechstronnym refleksjom naszej myśli współczesnej o polskim roku Napoleona z przed lat stu. Przemawiają tu do nas: wielki historyk Askenazy, gołębiej prawości publicyści Prus i Jankowski, wielki, twórczy talent Weyssenhoffa, świadoma swej godności krytyka Lorentowicza, z Bożej łaski śpiewak „Starej Warszawy“ Oppman, wierni, a śpiewni tłomacze obcych poetów, Adamowicz, Belmont i Nawrocki, a wreszcie cały szereg świetnie dobranych reprodukcji ze znakomitych obrazów Hessa, Raffeta, Delaroche'a, Wereszczagina



i wielu innych. Widzimy zatem, iż dotychczasowe przodujące stanowisko „Tygodnika Illustrowanego“ coraz-to silniej utrwala się i nadal, bo ma po temu tradycje najlepszej przeszłości, a także i odpowiednie zasoby materjalne najpoważniejszej w kraju firmy wydawniczej.

## WZMIANKI BIBLIOGRAFICZNE.

× Otrzymaliśmy następujące książki:

Wacław Gąsiorowski.—„*Bem*“—Powieść historyczna z XIX w. — Z portretem Bema. - Warszawa 1912.—Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G. Gebethner i S-ka. --Stron 505—Cena: 2 rb. 20 kop.

## NADESŁANE KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

× Wydawnictwa księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie na rok 1912:

Henryk Sienkiewicz.—„*W pustyni i w puszczy*“ — Z kolorową okładką Piotra Stachiewicza.—Stron 395—Cena: 2 rb. 50 kop.

Wiktor Gomulicki. -- „*Rok 1812*“. — Powieść dla młodzieży z 8-miu rycinam[1] Konstantego Gorskiego.—Stron 319. - Cena: 1 rb. 70 kop.

Zuzanna Morawska — „*Adjutant następcy tronu*“. — Powieść z czasów wojny franc.-pruskiej z 7-miu rycinami St. Bagieńskiego.—Stron 202—Cena: 1 rb. 20 kop.

M. Mossoczowa (M. Koliskówna). — „*Za orłami Napoleona*“ — (Bez butów—Śmierć Sułkowskiego - Na kraj świata—Wielkopolanin—Szarża szwoleżerów—Markietanka—Grenadyerzy—Ostatnie blaski).—Opowiadania dla młodzieży —Z ryciną.—Stron 128—Cena: 40 kop.

Teresa Jadwiga.—„*Pojednani*“ —Powieść z czasów Napoleona I. — Wydanie drugie z ryciną.—Stron 254—Cena: 50 kop.

Marya Gerson-Dąbrowska —„*Wielcy artyści*“ — Ich życie i dzieła.—Z 80 ilustracjami.—Stron 238—Cena: 1 rb. 80 kop.

Teresa Jadwiga.—„*Stracony*“—Powieść obyczajowa dla młodzieży z siedmioma ilustracjami Emila Lindemana.— Stron 199—Cena: 1 rb.

Władysław Umiński.—„*Krwawy chleb*“—Przygody młodego tułacza —Z ilustracjami.—Stron 344—Cena: 2 rb.

Juljusz Verne. — „*Wyspa tajemnicza*“ — Dzieło uwieńczone przez Akademię Francuską —Przekład J Belejowskiej.—Wydanie nowe w 2 tomach, z ilustracjami.—Stron 291+269—Cena: 1 rb. 50 kop.

Mayne Reid.—„*Pobyt w pustyni*“ — Przełożył St. M. Rzętkowski. — Wydanie nowe z 24 rycinami G. Doré'go.—Stron 297 - Cena: 1 rb.

H. Beecher-Stowe.—„*Chata wuja Toma*“—Powieść opracowana dla młodzieży, z czterema rycinami —Wydanie IV. przejrzane i poprawione. — Stron 276—Cena: 90 kop.

Andersen.—„*Bajki*“—Opracowane przez C. Niewiadomską.—Wydanie trzecie z 7-miu rycinami.—Stron 421—Cena: 1 rb. 20 kop

K. Łukaszewiczówna. —„*Serdeczni przyjaciele*“ - (Niania—Mateusz).—Z upoważnienia autorki przekład M Morawskiej w oprac. S. Karpowicza.—Stron 68—Cena: 50 kop.

Marya Weryho.—„*W ich świecie*“ — Opowiadania z życia zwierząt dla młodszych dzieci, z 36-ciu rysunkami Karola Witkowskiego. — Stron 171 —Cena: 1 rb. 50 kop.

Or-Ot.—„*Bajki Ezopa*“—Wydanie ozdobne, w dużym formacie, z kolorowemi rycinami.—Stron 50—Cena: 1 rb. 50 kop.

„*Podróże Guliwera*“—Wydanie ozdobne, w dużym formacie, z kolorowemi rycinami.—Stron 13—Cena: 75 kop.

W NAWIASIE.

## MARSZ SKRZYNECKIEGO.

Wlodzimierzowi Tetmajerowi
z uściskiem serdecznym
myśl jego zwracam.

Idzie zadumy szara godzina,
Serce się tłucze, jak ranny ptak,
Stara melodya wieje z pianina,
Ach, taka stara — a młoda tak!
Sen śni się jakiś, dawno strzaskany,
Z oczu coś cieknie: krew to czy łza?
Lecą ułany! lecą ułany!
Marsz Skrzyneckiego na śmierć im gra!

Dziewczę klawiszy ledwo dotyka,
Jakby dotknęło najkrwawszych ran..
Z pod Ostrołęki płynie muzyka
Do ułańskiego potomka ścian.
Szumem sztandarów bije mu w skronie,
Piorunem szabel uderza wzrok...
Słońce za chmurą... głóg na zagonie...
I szare życie... i szary mrok..

Wyrwał się z frontu koń rozhukany,
A na nim jeździec, jak wichru bóg:
Lećcie ułany! lećcie ułany!
Do ziemi proga! za ziemi próg!
Tyle nam szczęścia, co w tym rozpędzie,
Co w tem szalonem tętnieniu krwi!
A na tych polach grób jutro będzie!
A w grobie: życie dla przyszłych dni!

Mknie tryumfalnie marsz staroświecki
W świat ten sam niby, a nie ten sam...
Okiem z marmuru patrzy Skrzynecki,
I piękna dama wygląda z ram...
Otwórzcie okno: może już świta?
Może od zorzy pali się dal?...
I spazmem łkania za gardło chwyta
Taki okropny, gryzący żal!

Od pobojowisk grają armaty,
Marsza ostatnie akordy mrą,
Żółtych rabatów ścielą się kwiaty,
Młodą, gorącą zalane krwią!
Wylata dusza za snem w pogoni
Za snem! za szczęściem! O, marszu!
[dzwoń!...
I warczą bębny, i trąbka dzwoni,
I słuchacz rwie się: „Za broń! na koń".

Cicho tak — cicho wieje z pianina
Starej melodyi urwany dźwięk,
Ledwo klawisze muska dziewczyna,
A jednak taki wydały jęk!
Sen śni się jakiś, dawno strzaskany,
Z oczu coś cieknie: krew to czy łza?
Lecą ułany! lecą ułany!
Marsz Skrzyneckiego na śmierć im gra!

**Or-Ot.**










Wydawca: Józef Kroblcki, ul Marszałkowska 125. Redaktor odpowiedzialny: Piotr Ambroziewicz.

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.